

Retkowska, Halina / Fijałkowski, Marian

Ze wspomnień Pruszkowianina : rozmowa z Marianem Fijałkowskim

Przegląd Pruszkowski nr 1, 28-36

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

długoletniej pracy z młodzieżą w DKK kilku aktorów zawodowych. Prowadzony przez nią w roku bieżącym Teatr Małych Form przygotował i zaprezentował w kilku placówkach i zakładach pracy Pruszkowa jednoaktówkę A. Fredry. Możliwość pracy w zespołach zainteresowała, od września br., zwiększy uruchomiona pracownia fotograficzno-filmowa, dobrze wyposażona i przygotowana do działalności instruktażowej. Działa jeszcze na terenie placówki Klub Szachowy, który DKK przejął od Klubu „Znicz”. Rozwija on bogatą działalność turniejową, szczególnie w dni wolne od pracy. Omawiane przeze mnie imprezy stanowią tylko część oferty kulturalnej, bo jeszcze dobre kino „Dni Studyjne”, koncerty, recitale, kursy języków obcych z bardzo dobrymi wykładowcami.

Ta bogata i dość wszechstronna działalność połączonych placówek jest możliwa dzięki osobistemu zaangażowaniu w sprawę długoletniego dyrektora DKK — Barbary Kopeczek, która w tej placówce w naszym mieście przepracowała 25 lat. Rzadkie to w naszej trudnej i często nie docenianej działalności i dlatego ten Jubileusz Pani Kopeczek wart jest odnotowania. Placówka, którą kierowała zawsze była wzorem dla innych placówek kultury, a w latach pięćdziesiątych jedyną placówką kultury w Pruszkowie.

W imieniu wszystkich pracowników i działaczy kultury Pruszkowa i moim własnym dziękuję Pani Barbarze Kopeczek za wszystko co dla kultury w Pruszkowie zrobiła i życzę jej jak najwięcej zdrowia by mogła nasze wspólne poczynania jak najdłużej kontynuować.

Wiktoria Kulesza



ZE WSPOMNIENIŃ PRUSZKOWIANINA.

Rozmowa z Marianem Fijałkowskim

— Proponuję, abyśmy zaczęli naszą rozmowę w sposób nieco nietypowy. Jeżeli Pani pozwoli, ja zadam pierwsze pytanie, dobrze?

— Oczywiście, mam jednak nadzieję, że później powrócimy do naszych normalnych ról... Czekam więc na pytanie.

— Dlaczego właśnie mnie wybrała Pani jako swego rozmówcę?

— Odpowiem także pytaniem. Czy sądzi Pan, że wybór był niestuszny? Przygotowuję cykl wywiadów z ludźmi związanymi z naszym miastem, staram się wybierać osoby, które coś dla Pruszkowa zrobiły, uczestniczyły w jego przemianach, zarówno tych burzliwych czasu wojny, jak i tych późniejszych, już w warunkach pokojowych. Pan inauguruje tę, miejmy nadzieję, interesującą prezentację osobowości, postaw i typów zachowań. Jestem przekonana, że mój wybór był słuszny.

— Zobaczymy... zawsze jednak istnieje niebezpieczeństwo porażki. Sam pomysł jest na pewno ciekawy, ale też trudna jego realizacja. Będę w stanie przekazać Pani zaledwie rozproszone fragmenty wspomnień z mojego życia. Całości opowiedzieć nie sposób, tak jak i niepodobna opowiadać obiektywnie, gdy w grę wchodzi najbardziej osobiste prze-

życia i emocje. Z perspektywy czasu na wiele spraw patrzy się oczywiście inaczej niż wówczas, gdy przeżywało się je na gorąco... inaczej, ale to nie znaczy, jeszcze raz podkreślam, obiektywnie.

— *Będziemy mówić o czasie minionym, a więc o historii. A historia, jak wiadomo, to nie tylko daty i suche fakty. Koloryt przeszłości nadają wspomnienia, relacje bezpośrednich uczestników, a te z natury rzeczy muszą być w jakimś stopniu subiektywne, ale to przecież nie oznaczają, że są to opowieści fałszywe, nieodpowiadające prawdzie. Zdają się i takie, ale my, jestem pewna, unikniemy fałszowania przeszłości.*

— Cóż, dziękuję za wyróżnienie i... czekam na pytania.

— *Najczęściej bywa tak, że młodzi ludzie zostają ukształtowani pod wpływem atmosfery domu rodzinnego. Stąd wnoszą pewne trwałe cechy osobowości, zainteresowania i pasje. Czy w Pana wypadku było podobnie?*

— Na pewno tak... to czego nauczyłem się w domu rodzinnym, procentowało przez całe życie. Rodzicom mam do zawdzięczenia rzeczywiście bardzo dużo. Moje dzieciństwo nie należało co prawda do najpogodniejszych, żyliśmy w biedzie, nędzy nieomal. Ale ubóstwo nauczyło mnie szacunku do pracy, zarówno własnej, jak i tej, którą wykonują inni. Mimo wysokich kwalifikacji ojca, jego zarobki były zawsze skromne. Zaledwie wystarczały na związanie końca z końcem. Kiedy kończyłem szkołę powszechną (im. T. Kościuszki) zorganizowano nam pożegnalną wycieczkę do Krakowa, Wieliczki i Ojcowa. Nie była to pierwsza tego rodzaju impreza, tyle tylko, że mnie jakoś zawsze omijało szczęście uczestniczenia w takich eskapadach z uwagi na trudne warunki materialne naszej rodziny. Na tę ostatnią wycieczkę prawdopodobnie również bym nie pojechał, gdyby nie pomoc i życzliwość naszego kierownika szkoły, pana Mazurkiewicza. Wraz z dwoma innymi kolegami zarobiliśmy na opłacenie wycieczki pomagając przy malowaniu lamperii w sali gimnastycznej.

— *Czy Pańska rodzina zawsze związana była z Pruszkowem?*

— Jestem Pruszkowianinem z krwi i kości. Mój ojciec urodził się koło Radomska... ale mając kilkanaście lat przyjechał do Warszawy, gdzie odbywał praktykę jako terminator szewski. Później rodzice przenieśli się właśnie już na stałe do Pruszkowa. Ja urodziłem się już w Pruszkowie.

— *W jaki sposób doszło do tego, że zainteresował się pan pracą polityczną. Czy był to przypadek, czy też rezultat świadomej decyzji?*

— Kiedy teraz zastanawiam się nad tym, dochodzę do wniosku, że właściwie trudno było tego uniknąć. Najwięcej zawdzięczam ojcu, i rozmowom, jakie z nim przeprowadziłem. Decyzja, którą ostatecznie podjąłem, była jak sądzę logiczną konsekwencją politycznych zainteresowań i powiazań ojca.

— *Który, dodajmy, był uczestnikiem wojny rosyjsko-japońskiej, członkiem SDKPiL, a później przez szereg lat członkiem KPP.*

— To prawda, ale początkowo unikał rozmów ze mną na te tematy. Uważał, że jestem zbyt młody aby zrozumieć. No a poza tym ojciec należał do ludzi raczej skrytych. Odkąd pamiętam, zawsze był zaangażowany w jakąś robotę społeczną. W naszym domu często odbywały się zebrania Komitetu Miejskiego KPP, często spotykałem Piotra Pruszkiewicza, Władysława Kijewskiego, Wiktora Posela i innych. Domyślałem się, jaki jest cel tych spotkań, ale ojca bałem się pytać. Pierwsze poważne zadanie, jakie od niego otrzymałem miało miejsce w roku 1933. Zastrzelono wtedy wiceburmistrza Pruszkowa z ramienia PPS-Lewicy, Stanisława Berenta. Kiedy ta wiadomość dotarła do ojca, powiedział mi: „Synu, pewnie od dzisiaj będziesz musiał poświęcić

trochę czasu na pilnowanie swego ojca, żeby i jemu się coś nie przytrafiło". Trudno dziwić się jego obawom. Należał do KPP, był radnym miejskim w tzw. Czerwonej Radzie Pruszkowa, a działacze lewicowi byli wtedy każdego niemal dnia narażeni na niebezpieczeństwa. Przykład Berenta wskazuje, że w grę wchodziła nawet utrata życia. Nikt się jednak z pracy nie wycofywał, mimo trudnych warunków działania, ponieważ...

— *Wspaniały okazał się finalny rezultat.*

— Rzeczywiście, inicjatywy Czerwonej Rady przyniosły naszemu miastu wiele dobrego, szczególnie w latach 30-tych, kiedy to działacze lewicowi przystąpili do realizacji programu rozwoju oświaty i kultury w Pruszkowie. Wtedy zakupiono i adaptowano na potrzeby gimnazjum im. T. Zana obecny budynek przy ul. Daszyńskiego, rozbudowano szkołę powszechną im. T. Kościuszki, przystąpiono do budowy szkoły im. H. Sienkiewicza, rozpoczęto budowę Domu Kultury ZZK. Poza tym zrobiono również dużo w rzecz poprawy warunków bytowania rodzin robotniczych w mieście. A jednak znaleźli się tacy, którym działalność lewicowców była przysłowiową solą w oku. Śtarali się uczynić wszystko, aby tę pracę zniszczyć.

— *Cóż to były za elementy, jakie siły polityczne reprezentowali?*

— Przede wszystkim miałem na myśli ONR-owców. Ich bojówki bardzo często organizowały napady na wiece robotnicze. Jak wszędzie w międzywojennej Polsce, również w Pruszkowie nie obyło się bez skandalicznych ekscesów głównie o charakterze antyżydowskim.

— *Jaki program polityczny głosili pruszkowscy przedstawiciele Obozu Narodowo-Radykalnego?*

— Taki, jak gdzie indziej. Kończyło się na demagogicznych hasłach, którymi szermowali lekkomyślnie, ale bardzo chętnie. Zastanawiam się, czy to w ogóle można nazwać programem. Usiłowali wpajać w społeczeństwo w/g faszystowskich wzorów, że główną przyczyną zła w kraju jest obecność Żydów. Była to taktyka mająca na celu odwrócenie uwagi społeczeństwa od faktycznych źródeł zła, jakim był burżuazyjno-klasowy charakter rządów.

— *Jaką alternatywę proponowały siły lewicowe?*

— Odpowiem na podstawie tego, co sam wybrałem. Mając 16 lat zapisałem się do Organizacji Młodzieży TUR (OM TUR).

— *Przypomnijmy w tym miejscu Czytelnikom, że mowa o socjalistycznej organizacji młodzieży związanej z PPS, a utworzonej na kilka miesięcy przed przewrotem majowym.*

— Nasz lokal mieścił się na ulicy Narodowej. Pruszkowska organizacja OM TUR liczyła od 40 do 60 osób. Dzisiaj dokładnie już tej liczby nie pamiętam. W każdym razie, jak na nasze warunki, była to na pewno spora grupa. Poza tym należałem do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej (KZMP). Była to nielegalna rewolucyjna organizacja młodzieży, która między innymi walczyła o prawa młodych do pracy i bezpłatnej szkoły. KZMP istniał do 38 roku. Z chwilą rozwiązania KPP zawieszono również działalność tej organizacji.

Prowadziliśmy bardzo zróżnicowaną działalność. Z jednej strony chodziło bowiem o poczynania, które radykalizowałyby młodych ludzi i stąd wykłady z historii ruchu robotniczego, seminaria na których wyjaśnialiśmy pewne podstawowe pojęcia z zakresu filizofii marksistowskiej itp. Z drugiej jednak strony wiadomo, że młodzi, niezależnie od epoki, są zawsze tacy sami, pragną się pośmiać, zabawić, dlatego właśnie dużo uwagi poświęciliśmy również działalności rozrywkowo-kulturalnej. Powstało kółko dramatyczne, sekcja sportowa. Organizowaliśmy wycieczki do lasu, nad miejscowe glinianki, wieczory, na któ-

rych śpiewaliśmy popularne piosenki młodzieżowe oraz te poważne rewolucyjne i robotnicze pieśni.

— *W ten sposób obala Pan dość rozpowszechniony w naszym społeczeństwie stereotyp działacza. Okazuje się, że niekoniecznie musi to być człowiek zagrzebany w papierkowej robocie, zajęty agitacją i propagandą, poza swoją pracą świata nie widzący.*

— Oczywiście, że tak nie jest, a przynajmniej na pewno tak być nie musi. Agitowanie to tylko wycinek działania, pokazy, ale z pewnością nie jedyny.

— *Jak układały się stosunki OM TUR-owców z innymi partiami, które działały na terenie Pruszkowa?*

— Tradycyjnie już współpraca z KPP i PPS-Lewicą była dobra. Nie zawsze może kierownictwo PPS podejmowało trafne decyzje, na tym tle dochodziło do drobnych spięć i konfliktów, ale powtarzam, były to sytuacje rzadkie.

— *ONR-owcy dali za wygraną?*

— Skąd! Z nimi były zawsze problemy i to poważne. Kiedyś, pamiętam, urządzili sobie coś w rodzaju zlotu w dzisiejszym kinie „Metro”. Po zlocie zaplanowali natomiast przemarsz ulicami miasta. Dla nikogo z nas nie było tajemnicą, czym taka „defilada” może się zakończyć. Była to przecież skrajnie faszystowska organizacja.

W kwadracie ulic Prusa, Kraszewskiego, Kościelnej i Komorowskiej w międzywojennym Pruszkowie zamieszkiwała głównie ludność żydowska. Bojówki ONR-owców przechodząc tamtędy przy każdej okazji stosowały niezmiennie ten sam scenariusz, a więc obrzucanie kamieniami okien, tłuczenie szyb w sklepikach i drobnych warsztatach, jakie znajdowały się w tej okolicy, wyzwiska pod adresem mieszkańców itp. Zlot w „Metrze” zakończyłby się podobnie. Postanowiliśmy im przeszkodzić. Na czele z Eugeniuszem Góreckim, Jankiem, Zygmuntem, Wackiem i Władkiem Krajewskimi oraz Wiktorem Poselem ruszyła nas wielka grupa OM TUR-owców i członków Zw. Budowlanych. Bojówkarzy wypędziliśmy aż na łąki koło kolejki WKD. Był to rok 1935 i ostatni już większy ich występ w Pruszkowie.

— *Przeglądając wspomnienia OM TUR-owców często spotykałam fragmenty poświęcone opisom zjazdów i zlotów, jakie organizowali w międzywojennej Polsce. Czy również Pruszkowiaczy brali udział w takich imprezach?*

— Tak i to wielokrotnie. Np. w roku 1937 byliśmy na zjeździe chłopskim, który odbywał się na Służewcu pod hasłami: „żądamy ziemi”, „chcemy powrotu Witosa”. Do Warszawy szliśmy w małych grupkach, żeby za bardzo nie rzucić się w oczy tajniakom. Naszym przywódcą był wtedy Wacek Krajewski.

— *Czy chłopcy coś dzięki temu zjazdowi uzyskali?*

— Nie... rozgromiono ich... mało brakowało aby doszło do wybuchu strzelaniny. Większość ówczesnych demonstracji miała podobny epilog. A wracając do tych, w których miałem okazję sam uczestniczyć... Z inicjatywy naszej pruszkowskiej organizacji odbyło się również kilka burzliwych spotkań młodzieży, m.in. w Jelonkach, w Brwinowie, a także w samym Pruszkowie. Parę razy miałem możliwość podziwiać w akcji Stanisława Duboisa. Był świetnym mówcą.

— *Kto był przywódcą pruszkowskiego oddziału OM TUR-u?*

— Najdłużej Stanisław Bartczak, później przez jakiś czas Jan Benda, a tuż przed wybuchem wojny funkcja ta mnie przypadła w udziale.

— *Czy przed wybuchem wojny zdążył Pan podjąć pracę zawodową?*

— Tak... Chciałem zostać metalowcem. (Być może na decyzję miało swój wpływ sąsiedztwo Stowarzyszenia „Mechaników” na ulicy Sta-

lowej, gdzie mieszkaliśmy z rodzicami aż do 1934 roku). Niestety, był to taki okres, że ważniejsze było nie to, czego się rzeczywiście pragnęło, ale to co się po prostu trafiło... Po skończeniu szkoły podstawowej, dostałem się do szkoły zawodowej metalowej. Szkoła znajdowała się w Warszawie na ulicy Miedzianej. O dostaniu się do fabryki nie było mowy. Zdecydowały o tym nie tylko kwestie materialne. Wiedzano, że pochodzę z rodziny o „ciągotach lewicowych”, jak to się wówczas nazywało. Sam również zaczynałem stawiać już pierwsze kroki w organizacjach lewicowych. No i w ten sposób znalazłem się na czarnej liście. O zawodzie metalowca nie było co marzyć. Nie powiodły się także starania o pracę w elektrowni. W rezultacie otrzymałem pracę w zakładzie stolarskim w Warszawie i wbrew pierwotnym planom i zamierzeniom zostałem stolarzem. Przeszedłem również do branżowej szkoły zawodowej w Warszawie przy ul Karolkowej. 20 sierpnia, a więc na kilka dni przed wybuchem wojny, właściciel wymówił mi posadę, żegnał mnie słowami: „kiedy skończą się działania wojenne, wracaj...” Nie wróciłem już jednak nigdy do jego warsztatu. Po wybuchu wojny udałem się do Warszawy. Chaos, jaki wtedy panował, trudno nawet opisać. Zaczęły krążyć pogłoski, że w Lublinie powstają jakieś jednostki wojskowe. Ruszyliśmy większą grupą w kierunku Lublina. Przyszedł następny rozkaz. Wróciłem do Warszawy, brałem udział przy budowie umocnień. Później dowiedziałem się, że wojska polskie odbiły Łódź. Postanowiłem wrócić do Pruszkowa. Było to w okresie walk nad Bzurą. Na rogatkach Warszawy dostaliśmy się w ręce Niemców. Zostałem wywieziony do Niemiec. Przebywałem w obozach w Lamsdorf, Harsdorf, Luckenwalde i Schubinie. Skąd Niemcy skierowali mnie do pracy na folwarku w miejscowości Hohen-Landin. Oczywiście miało to swoje dobre strony. Łatwiej tu było wegetować, choć praca była nie lżejsza niż np. w jakimś zakładzie przemysłowym.

W maju 45 r. zjawili się Rosjanie. W czerwcu pierwsze grupy Polaków zaczęły wracać do kraju. Ja również zdecydowałem się na powrót.

— *Jakie były Pańskie pierwsze wrażenia po powrocie. Wiadomości otrzymywane drogą korespondencyjną z natury rzeczy nie mogły wiernie odtworzyć tego, co w Polsce działo się podczas okupacji?*

— Bardzo dziwny był ten powrót do kraju... Oczywiście, radość, że znowu w domu, wśród bliskich, z drugiej jednak strony zastana rzeczywistość przerosła granice ludzkiej wyobraźni. W obozie od czasu do czasu docierały do nas wiadomości o tym, co Niemcy wyprawiają w kraju. Przyznaję jednak, że nie we wszystko wierzyliśmy, a okazało się, że było jeszcze gorzej, znacznie gorzej. W kilka dni po powrocie pojechałem zobaczyć Warszawę, widziałem to, co po niej zostało...

— *Raz jeszcze trzeba było zaczynać od początku.*

— Ale w trudniejszych niż dawniej warunkach. Miasto było zniszczone, przemysł zdewastowany. Nie było środków finansowych. Nie wiedzieliśmy, od czego zaczynać, co najważniejsze i najbardziej palące. Wtedy wszystko było ważne. Na szczęście nie zabrakło chętnych do pracy. Ja powróciłem do pracy przy stolarce, tym razem w pruszkowskiej elektrowni. Trudno opisać naszą radość, kiedy w końcu, po morderczej i naprawdę szalenie trudnej pracy odbudowano pierwszy turbozespół 8 megawatów, proszę to sobie wyobrazić dzisiaj, gdy oddawane są „pięćsetki”. Nie, Pani już nie potrafi tego zrozumieć.

— *W 46 roku założył Pan własną rodzinę... Ta decyzja musiała chyba dodatkowo skomplikować i tak już trudną sytuację.*

— Owszem, skomplikowała i to nawet bardzo. Jest to jednak taki

krok, który prędzej czy później każdy z nas musi podjąć. Było trudno, ale przeżywanie wspólnie ciężkich chwil bardzo ludzi łączy. Nie jest to tylko pusty frazes, sprawdziłem na własnej skórze. Nie mieliśmy początkowo własnego mieszkania. Żona mieszkała osobno. Ale jaka to była radość, gdy w końcu udało się znaleźć sublokatorski pokój, gdzie zainstalowaliśmy piecyk, który grzał, a jeszcze częściej nie, pokój, w którym przez długi czas nie było żadnych mebli, bo ekwiwalent pieniężny, jaki otrzymywaliśmy za pracę ledwie wystarczał na wyżywienie rodziny. Cieszyliśmy się jednak nawet z tych opłakanych przecież warunków mieszkaniowych, czego Pani zapewne już także nie potrafi zrozumieć.

— *Gożąco protestuję. Proszę mi wierzyć, młodzi ludzie również dzisiaj potrafią cieszyć się z własnego, choćby najmniejszego locum.*

— Przystąpię teraz do relacjonowania kolejnego etapu mojego życia. Sporo tu będzie funkcji, ale też sporo miejsc pracy zmieniłem i to w stosunkowo krótkim czasie.

— *Dlaczego? Czy nie mógł Pan zdecydować? Czy wybór był tak trudny?*

— Przyczyna jest znacznie mniej wyszukana.

Po prostu należę do osób, które nie potrafią odmawiać. Proponowano, proszono o pomoc, nie wypadało inaczej. Pracowałem więc jako instruktor w Komitecie Miejskim. Uczestniczyłem w organizowaniu Powiatowej Rady Związków Zawodowych. Od marca 48 roku przeniesiono mnie do pracy w Zakładach 1 Maja. Pełniłem tam funkcję sekretarza Komitetu Zakładowego PPR. Po przeszkoleniu w Centralnej Szkole Partyjnej w Łodzi od maja 1949 r. byłem I-szym sekretarzem Komitetu Miejskiego PZPR. Funkcję tę pełniłem dwa lata.

— *Czy działalność polityczna sprzed wybuchu wojny okazała się tutaj pomocną?*

— Bardzo, zwłaszcza przy rozwiązywaniu różnego rodzaju spraw natury organizacyjnej. Bez wcześniejszego przygotowania na pewno nie dałbym sobie rady. Warto przy tym zwrócić uwagę na specyfikę tego okresu. Był to czas ideowego i politycznego umacniania się PZPR. Wiele spraw trzeba było załatwić, wielu niechętnych przekonać, przełamać szereg trudności gospodarczych. Wtedy właśnie przystąpiliśmy do zorganizowania ściślejszych kontaktów między miastem i wsią. Nasze akcje miały na celu przede wszystkim niesienie pomocy rolnikom, pomagaliśmy im w pracach żniwnych, przy tworzeniu spółdzielni produkcyjnych. Pruszkowska organizacja partyjna miała pod swoją opieką okręg garwoliński. A przecież nie była to jedyna sfera naszych poczynań. Z inicjatywy Komitetu działano również na rzecz polepszenia warunków życia w naszym mieście. Staraliśmy się wszyscy nadać miastu bardziej atrakcyjny ładniejszy wygląd m.in. po wielu zabiegach udało nam się ostatecznie zburzyć prawie 2-metrowy mur okalający Pałac Potulickich, odgradzający pałac od miasta. Ten relikw minionej epoki był już niepotrzebny. W czynie społecznym, dzięki pomocy ZNTK pruszkowianie zbudowali kładkę na Utracie. Wtedy również społeczność pruszkowska ufundowała sztandar dla Wyższej Szkoły Piechoty w Rembertowie. Ze szczególnym sentymentem i wdzięcznością wspominam dzisiaj pomoc moich kolegów II sekretarzy tow. Eugenii Rosiennik, Pawła Jacaka, instruktorów Popielskiego, Bogdańskiego i wielu innych aktywistów. Wśród ZMP-owców Ryszarda Hilla, Henryka Kucharskiego nadających ton pracy tej organizacji.

— *Czy znajdował Pan jeszcze trochę czasu na życie rodzinne?*

— Z tym było trochę gorzej. Żona i dzieci traktowali mnie jako gościa, to prawda, że mile widzianego, ale jednak gościa. Pracując w Pruszkowie byłem i tak stosunkowo często „uchwytny” w domu. Od

maja 1951 roku skierowano mnie jednak do pracy w KC. W Wydziale Ekonomicznym KC miałem pod opieką przemysł drzewny i leśny oraz organizacje partyjne w tym przemyśle. Wtedy to już naprawdę zacząłem w domu tylko bywać. Praca wymagała częstych wyjazdów w teren. Zakłady są przecież porozrzucane po całym kraju a do każdego należało dotrzeć.

— *W ten sposób domową kuchnię zastąpiły posiłki stołowe?*

— I 18-złotowa dieta.

— *Kolejny etap Pańskiej biografii trwał cztery lata. Jak potoczyły się koleje losu po ukończeniu Szkoły Partyjnej przy KC PZPR.*

— W 54 roku powróciłem znowu do pracy w KC, awansowałem na starszego instruktora. Tym razem przypadła mi opieka nad przemysłem papierniczym, drzewnym i materiałów budowlanych. Na teren pruszkowski wróciłem dopiero w grudniu 1956 roku. I wtedy wspólnie z Bogdańskim postanowiliśmy zorganizować w mieście spółdzielnię mieszkaniową. Początkowo wyglądało to na zadanie wręcz niewykonalne. W Pruszkowie nie było dotychczas tradycji spółdzielczości.

— *Nie rozumiem jednak, dlaczego zainteresował się Pan właśnie spółdzielczością. Tej karty w dotychczasowym Pańskim życiorysie nie było.*

— W pierwszej chwili ja również miałem poważne opory. Wiedzy w tej materii praktycznie nie posiadałem żadnej. Ryzyko było ogromne. Zdecydował chyba upór Bogdańskiego i powaga chwili. W tym okresie budownictwo państwowe znacznie zastopowało swój rozpęd. Mieszkań nie było za dużo.

Chcieliśmy mieć do dyspozycji własne materiały, a więc... uruchomiliśmy cegielnię. Wybudowaliśmy szopy suszarnicze, pomieszczenia na maszyny cegielnicze...

— *Wybudowaliśmy?*

— Dobrze Pani usłyszała... Ja również w tym uczestniczyłem. Jako były cieśla wziąłem na siebie wybudowanie kantorku dla urzędników. Materiały były byle jakie, ja też już trochę zdążyłem zapomnieć jak należy trzymać pilę i siekierkę, niemniej potrzebne pomieszczenia zostały wzniesione. Zaczęto wyrabiać pierwsze cegły, a wkrótce potem stanął pierwszy blok, ten na rogu ulic Kraszewskiego i Lipowej. Cegielnię po jakimś czasie zlikwidowano, a spółdzielnia zajęła się przyjmowaniem nowych budynków. Mnie już tam jednak nie było.

— *Czyżby kolejna zmiana miejsca pracy?*

— Tak, tym razem jako zastępca prezesa PSS zająłem się organizowaniem odcinka gastronomiczno-produkcyjnego. Z obecnym prezesem PSS, Edwardem Dąbrowskim mieliśmy dokonać cudu. Spółdzielnia pracowała na stratach i trzeba było zrobić coś takiego aby okazała się przedsięwzięciem rentownym.

— *Był to rok 1957. Okazało się, że chociaż dotąd Pan w spółdzielczości nie pracował, znajomość przemysłu zdecydowała o sukcesie.*

— To są Pani słowa....

— *A co było dalej?*

— Zbliżały się wybory do Rady Narodowej. W marcu 1958 roku zostałem Przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej. Przejąłem tę funkcję w niezbyt szczęśliwym okresie. Problemem nr 1 stała się wówczas kwestia mieszkaniowa. Budownictwa państwowego było już wtedy bardzo mało a spółdzielcze jeszcze się nie rozwinęło, a ludzie, co zupełnie zrozumiałe, chcieli mieć własne mieszkania. W dniu przyjęć interesantów przewijały się przez mój gabinet tłumy ludzi, a ja okazywałem się bezsilny. Na kilkadziesiąt spraw udawało się załatwić zaledwie parę. Jeżeli nie zajmowałem się akurat sprawami mieszkaniowymi, zaczynała się szarpanina innego rodzaju. Trzeba było opracować

projekt przestrzennego zagospodarowania miasta. Projekt opracowaliśmy. Zaczęła się walka o środki finansowe niezbędne do jego realizacji. Z tego okresu zachowałem satysfakcję z 2-ch przedsięwzięć: po pierwsze, gdy udało się nam położyć pierwszy w mieście asfalt na ul. T. Kościuszki i na ul. Sienkiewicza przed dworcem PKP, i po drugie gdy dzięki energicznym staraniom władz miejskich rozpoczęto budowę wiaduktu nad torami kolejowymi. Po zrealizowaniu inwestycja w dużym stopniu rozwiązała problem komunikacji kołowej między dzielnicami po obu stronach torów kolejowych. Moją pracą w nowej kadencji przejął Ryszard Hill, a ja przeszedłem do Fabryki Ołówków jako zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych. Tam pracowałem najdłużej, bo aż do 1973 roku. Mam bardzo wzruszające wspomnienia z tej pracy. Z kontaktów z ludźmi, których tam spotkałem. Dążyli mnie sympatią i ufali, a to zawsze daje powód do dumy i satysfakcji.

— *Dlaczego więc odszedł Pan stamtąd?*

— Ponieważ w Spółdzielni „Przemysł Drzewny” w Brwinowie potrzebny był nowy prezes. Ówczesny I Sekretarz Komitetu Miasta i Powiatu PZPR Jerzy Wierżchowski proponując mi tę pracę powiedział: „To jest w sam raz dla ciebie, znasz się i na ekonomice i na stolarce, no a poza tym ludzie ci wierzą”. Czy mogłem odmówić? Co prawda Rada Nadzorcza Spółdzielni początkowo nie zaakceptowała mojej kandydatury, no ale innych chętnych na to stanowisko również nie było. Ttrudno się temu dziwić. Zadanie prezesa w tym wypadku do wdzięcznych nie należało, trzeba było uporządkować przedsiębiorstwo, wyeliminować nadużycia, które powodowały ogromne straty.

— *Panu się to jednak udało?*

— Nie wiem czy można tu mówić o sukcesie. Spółdzielnia znajdowała się w takim stanie, że nawet bardzo drobne usprawnienia wystarczą aby uzdrowić sytuację. Zacząłem od opracowywania zakresu czynności dla kierowników i ich zastępców. Patrzono na to krzywo, próbowano nawet podstawić mi nogę. Przepracowałem tam półtora roku. Z rezultatów jestem zadowolony, chociaż uważam, że można było zrobić więcej. Niestety ja tego już uczynić nie byłem w stanie. Choroba zmusiła mnie do przejścia na rentę. Powikłania pozawaławe dają o sobie znać do dzisiaj.

— *Czy to oznacza, że zerwał Pan zupełnie z pracą społeczną?*

— Tego nie potrafiłbym uczynić. Za bardzo weszła mi ta praca w krew. Nadal pełnię obowiązki radnego, jestem członkiem Komisji Kontroli Partyjnej PZPR, członkiem Komisji d/s działaczy ruchu robotniczego przy KM PZPR, członkiem Komisji Przestrzegania Prawa i Porządku Publicznego, członkiem Związku Rencistów, Inwalidów i Emerytów, tyle tylko, że obecnie stopień mojej aktywności zależy od stanu zdrowia. Ale i w obecnym stanie miały miejsce wydarzenia, które dały mi powody do wzruszeń i satysfakcji, wspomnę tylko przykładowo powstanie w 1977 r. z inicjatywy I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR tow. Franciszka Śliwińskiego Izby Pamięci Ruchu Robotniczego Ziemi Pruszkowskiej. Właśnie mam duże zadowolenie, że przygotowałem przy współudziale Piotra Pruszkiewicza, Feliksa Knapa, Jana Iżyckiego, większość materiałów dokumentacyjnych do ekspozycji tej Izby, która pełni ważną rolę wychowawczą przede wszystkim wśród pruszkowskiej młodzieży. No a poza tym teraz więcej czasu mogę poświęcić rodzinie, wspólnie z żoną zajęliśmy się wychowaniem wnuczki...

— *Była to bardzo długa ale jednocześnie interesująca rozmowa. Co jest dowodem na to, że mój wybór rozmówcy okazał się i słuszny i potrzebny.*

— O tym zadecydują już Czytelnicy, ja mogę dodać tylko jedynie tyle, że mam jakąś satysfakcję z własnego życia. Sądzę, że go nie zmarnowałem, a nawet w miarę swych możliwości starałem się je wykorzystać dla dobra i korzyści innych. Jeżeli pozostanie po mnie jakiś, nawet drobny ślad to już jest bardzo dużo.

— Bardzo dziękuję za rozmowę.

**Rozmawiała
Halina Refkowska**

Warszawo...

Cóż powiem o Tobie
Warszawo wspaniała,
Wszak tyleś już pieśni
O sobie słyszała.

Miłością natchnione
Melodie i zwroty,
Nadzieje stracone...
Rozstania, powroty.

Ze w gruzach leżałaś
Od wrogów działania,
Ze płomieniem stałaś
Od swego zarania.

Historia kłty chciwie
Wpijała w Twe szaty,
Niszczono Cię mściwie,
Planowo na raty.

Te ręce spękane,
Bo się zawsze trudzą,
Wzniosły mury znane
Co wzruszenie budzą.

My dobrze to wiemy:
Z bronią umieranie,
Gdy wolności chcemy
To nasze zadanie.

Bogatą historią
Kwitnącą jak kwiaty,
Bielą i czerwienią
Zdobisz swoje szaty.

Jerzy Kaliński

Pruszków, styczeń 1980 r.